



Nazywam się Helena

Czuchnicka z domu Cymbor.

Swoją historię zacznę od roku 1911, chociaż ja urodziłam się dopiero 10 lat później 23 kwietnia 1921 roku Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Rodzina mojej mamy, o nazwisku Blama i mojego taty o nazwisku Cymbor pochodziły z Galicji, dawnej Rzeczypospolitej w zaborze austriackim

Mieszkali oni w małej miejscowości Zaronka, powiecie tarnopolskim. Życie było tam bardzo ciężkie. panował głód i bezrobocie, a w okolicznych wioskach ludzie też narzekali na swój los. Wielu Polaków nie tylko z zaboru austriackiego ale też rosyjskiego i pruskiego chciało polepszyć życie swoje i swoich rodzin. Wymarzonym krajem, dokąd chcieli jechać za chlebem była Ameryka, Stany Zjednoczone, Kanada czy Brazylia.

Moja mama Anna Blama urodzona 1898 roku jako 14-letnia dziewczyna i mój tato urodzony 1894 roku jako 17 letni chłopak wyruszyli 1911 roku do wymarzonego kraju.

Dotarli do portu Bremen w Niemczech a stamtąd statkiem Manhattan wypłynęli w nieznane przez Atlantyk.

Statek Manhattan był to wielki parowiec, który na swój pokład zabierał około 1000 osób. Wśród nich byli moi późniejsi rodzice, którzy uzbierali pieniądze tylko na tani bilet, Mieli w sobie dużo odwagi, żeby ruszyć w daleki świat.

Statek ten płynął około 45 dni, tak więc moja mama i mój tata około 25 maja 1911 roku dopłynęli do Ameryki do portu Ellis Island, jak mówiono Wyspy Nadziei lub Wyspy Łez.

Muszę dodać, że w Muzeum Emigracji w Gdyni jak i w Muzeum Emigracji w Ellis Island znajdują się listy pasażerów na, których widnieją nazwiska moich rodziców .

Po przybyciu do Ameryki ludzie rozjeżdżali się w różne strony tego wielkiego kraju. Moja mama i mój tato zamieszkali w miasteczku Clivent.

Tato znalazł pracę w kopalni węgla kamiennego, mama zaś pracowała jako pomoc domowa sprzątając u zamożnych Amerykanów.

Kiedy mama skończyła 18 lat wyszła za mąż za wspomnianego Józefa Cymbora mojego ojca. Było to w roku 1916, od tej pory było im dużo łatwiej znosić tułaczy los i ciężkie życie na obczyźnie. w 1917 roku urodził im się syn Edzio mój brat. Potem za 2 lata 1919 roku przyszła na świat moja siostra Adela.



Moi Rodzice z Adelą i Edziem a ja w drodze

Ja Urodziłam się 23 kwietnia 1921 roku, dostałam na imię Helenka .

Rodzicom było bardzo ciężko. Wynajmowali małe mieszkanie i jakoś dawali sobie radę bez niczyjej pomocy. Żyli bardzo skromnie, bo chcieli jak najwięcej dolarów odłożyć, żeby potem zabrać do Polski.

Tato zaczął podupadać na zdrowiu, bo praca w kopalni na trzy zmiany, była bardzo ciężka. Jego płuca były słabe i lekarz zalecił mu zająć się jakąś pracą na wolnym powietrzu. Tato stwierdził ,że jak ma pracować na obcej ziemi, to chyba trzeba wracać do kraju. Taką też podjęli

decyzję i jeszcze tego samego roku 1921 wracają do Polski już jako pięcioosobowa rodzina. Znow długa podróż Statkiem przez Ocean a potem koleją aż do Tarnopola .

Kilka miesięcy mieszkamy w Jasionowie małej wiosce w rejonie tarnopolskim u rodziny mojej mamy babci Blamowej. Potem przeprowadzamy się do Brzozowa do rodziców mojego taty, dziadków Cymborów gdzie mamy trochę lepsze warunki mieszkaniowe.

Za zarobione w Ameryce pieniądze rodzice kupują mały domek z kawałkiem ziemi w Nastasowie, też w rejonie tarnopolskim. Jest to mała wioska nad rzeką Gniewa położoną 6 km od Trembowli i 10 km od Mikulińca.

W Nastasowie rodzice zaczynają nowe życie, na swoim własnym gospodarstwie.

Rodzina nasza powiększyła się o dwie siostry i dwóch braci. w 1923 roku urodził się Piotr ,w 1926 roku Jańcia, w 1929 roku Zosia a w 1933 najmłodszy brat Gienio.

Niestety najstarszy brat urodzony w Ameryce był bardzo słabego zdrowia i często chorował. Zmarł na jakąś nieznaną chorobę w wieku sześciu lat.

Ja i moja starsza siostra Adela opiekowałyśmy się młodszym rodzeństwem. Tato i mama byli bardzo pracowici, przy tym tato był bardzo zaradny i przedsiębiorczy. Kiedy okazało się, że w pobliżu są pokłady gliny tato kupił kawałek placu i wraz z innymi mężczyznami postawił cegielnię. Pamiętam jak robiono i wypalano cegłę, nieopodal naszego domu. Glinę mieszano z krótką słomą, formowano długie wałki, cięto na kawałki i wypalano. Pierwsze partie cegły tato sprzedawał okolicznym gospodarzom.

Potem w latach 30 wybudował dla naszej rodziny duży piękny dom. Nasze gospodarstwo też się powiększyło, bo tato dokupił jeszcze sąsiadujące z nami pole. Mieliśmy największą plantację truskawek w okolicy. Pamiętam, kiedy przyszły zbiory, dzień w dzień zbieraliśmy truskawki. Nawet w niedzielę po przyjsciu z kościoła, cała nasza rodzina pracowała na plantacji. w tygodniu nosiliśmy truskawki na sprzedaż do Trembowli, małego miasteczka oddalonego od

naszej wioski o 6 km. Tato zaś wywoził truskawki wozem konnym do miasteczka Mikuliniec.

W naszej wiosce nad rzeką stał duży młyn na wodę, tam tato i inni gospodarze wozili zboże na mąkę i kaszę. Nieopodal była tłocznia oleju zwana olejarnią, gdzie na potrzeby mieszkańców tłoczono olej z lnu, konopi i maku. We własnym zakresie wyrabiano też lniane płótno z którego szyto pościel, ubrania czy też worki na zboże. w wiosce było dwie szkoły podstawowe. Szkoła Polska dla dzieci polskich i Szkoła Ukraińska dla dzieci z rodzin ukraińskich.

Był też piękny kościół katolicki i cerkiew prawosławna. w wiosce mieszkało sporo ukraińskich rodzin a wokół wioski były tak zwane kolonie, zasiedlone przez Polaków. Moja rodzina mieszkała w jednej z takich kolonii. Życie płynęło tu spokojnie, dorośli pracowali na swoich gospodarstwach a dzieci chodziły do szkoły lub bawiły się w swoich domach czy ogrodach.

W 1935 roku ukończyłam szkołę podstawową. Potem chodziłam do dwuletniej szkoły zawodowej gospodarstwa domowego. Była to duża szkoła z internatem, na obrzeżach Tarnopola. Uczęszczała do niej młodzież z całego rejonu tarnopolskiego. Przyuczano tam młodzież do różnych zawodów między innymi, kucharz, stolarz, murarz, mechanik, krawcowa i wielu jeszcze innych.

Ja w międzyczasie zrobiłam też kurs krawiecki, bo bardzo lubiłam cokolwiek szyć. Po ukończeniu szkoły tato kupił mi maszynę do szycia, z której się bardzo ucieszyłam. Chodź naszej rodzinie powodziło się dobrze, ja zaczęłam szyć, żeby mieć swoje pieniądze. Szyłam dziewczynom bluzki, chłopakom koszule a także pościel i inne rzeczy.

Oprócz tego pomagałam rodzicom w gospodarstwie i opiekowałam się młodszym rodzeństwem.

Rodzice pobudowali jeszcze nową stajnię dla koni i krów oraz nową oborę dla trzody chlewnej i drobnego inwentarza.

W roku 1938 moja starsza siostra Adela wyszła za mąż za Wojciecha Cieślaka, chłopaka z sąsiedniej wioski.

Tato chciał żeby Adela pojechała do Ameryki zobaczyć kraj w którym się urodziła. Rodzice składali pieniądze na bilet, tato załatwił jej wizę i latem 1939 roku wyjechała Ameryki.

Ja i mąż Adeli mieliśmy wyjechać do Ameryki za rok ale niestety wybuch drugiej wojny światowej we wrześniu 1945 r. pokrzyżował nasze plany.

Już latem 1939 roku wielu młodych mężczyzn powołano do wojska na przeszkolenie, na tak zwane manewry. Niektórzy wrócili przed wojną do domu ale wielu zostało wcielonych do Armii Polskiej. Brali oni potem udział w wojnie na różnych frontach.

1 września 1939 roku rozeszła się wiadomość, że Niemcy od zachodu napadli na Polskę.

Żyliśmy w miarę spokojnie ale gdy 17 września 1939 roku od wschodu do Polski wkroczyli Rosjanie, nasz los stał się niepewny. Czasami słyszało się tu i ówdzie, że nam Polakom grozi przesiedlenie lub wywózka.

Przez nasze tereny nie przechodził front ale żyliśmy w ciągłym strachu a warkot samolotów lecących nad naszymi domami napawał nas lękiem.

Wstrząs, którego doznaliśmy całą rodziną wydarzył się w nocy 10 lutego 1940 roku. Obudził nas głośny stukot a właściwie łomot do drzwi kolbami karabinów. Cała rodzina mama, tato, ja i czworo mojego rodzeństwa zerwaliśmy się na równe nogi. Do mieszkania weszło kilku żołnierzy z karabinami w wysokich czapkach z czerwoną gwiazdą i jeden tutejszy Ukrainiec.

Właściwie to wtargnęli siłą, odpychając mojego ojca od drzwi. Krzycząc kazali nam się ubierać i za pół godziny wychodzić przed dom. Tato chciał jeszcze wyjść do stajni, ale mu nie pozwolono. Ubraliśmy na siebie najcieplejsze ubrania, swoje kożuszki, ciepłe buty, czapki i rękawice. Mama zabrała coś do jedzenia, jakiś garnek, poduszkę, koc i zawinęła wszystko to w duży tobołek

Gdy wyszliśmy przed dom stały już sanie zaprzęgnięte w dwa konie. Najmłodszych usadzono na saniach a dorośli szli pieszo w śniegu po kolana. Wszyscy przemoczeni,

zmarznięci, i zmęczeni nad ranem doszliśmy do stacji kolejowej w Chodaczkowie. Tam zobaczyliśmy ludzi nadciągających z różnych stron Nastasowa. Byli wśród nich nasi znajomi, mieszkający w sąsiedniej kolonii. Byliśmy pewni, że wywożą wszystkich Polaków zamieszkałych w trzech koloniach.

Na stacji stał już pociąg towarowy składający się z około 60 oszronionych od mrozu towarowych wagonów. Po obu stronach wagonu znajdowały się na wysokości około 80 cm od podłogi półki. w środku wagonu stał żeliwny piecyk, w którym od czasu do czasu palono jakieś patyki w celu ogrzania wagonu. z boku przy ścianie znajdował się wycięty otwór w podłodze przez który załatwialiśmy swoje potrzeby fizjologiczne.

Czekaliśmy jeszcze około 3 godzin, aż wszyscy zbiorą się w jednym miejscu. Nagle zaczęto odczytywać nazwiska i całymi rodzinami upychać nas do wagonów. Na ławkach siadały matki z małutkimi dziećmi, sadowiły się też starsze dzieci oraz ludzie schorowani i niedołężni.

Po załadowaniu wszystkich wagonów i zaryglowaniu ich od zewnątrz pociąg ruszył. Słysząc było płacz dzieci i lament dorosłych a w oczach moich rodziców i innych ludzi widziałam strach i przerażenie. Nie wiadomo było dokąd nas wiozą i jak długo będziemy jechać.

Co kilkanaście godzin pociąg zatrzymywał się, otwierano wagon, dostawialiśmy dwa wiaderka zupy i po kawałeczku chleba. Czasami zostawiano gorącą wodę i trochę drzewa, żeby napalić w piecyku. Zapasy żywności wzięte z domu kończyły się, ludzie zaskoczeni wywózką nie posiadali odpowiedniej ilości jedzenia, bo każdy wziął to co było pod ręką. Czasami pociąg zatrzymywał się niespodziewanie w polu, żołdaci z karabinami, którzy pilnowali nas, pozwolili wyjść kilku osobom w celu załatwienia swoich fizjologicznych potrzeb. Bywało też tak, że usuwano z wagonów ciała ludzi, którzy zmarli z głodu czy z zimna w czasie tak długiej drogi. Wyrzucano ich po prostu na zewnątrz, w grubą warstwę śniegu, który leżał na polach.

Podróż trwała bardzo długo około półtora miesiąca. Wiedzieliśmy już, że jedziemy na Sybir do Krasnojarskiego Kraju. Po drodze mijaliśmy małe wioski ale też i duże miasta jak Kijów, Czelabińsk, Omsk, Tomsk aż wreszcie dotarliśmy do Krasnojarska.

Tam wszystkich wysadzono z pociągu i ulokowano w budynku na dworcu kolejowym. Siedzieliśmy wszyscy na podłodze a właściwie koczowaliśmy wraz z innymi rodzinami ze swoim dobytkiem pośpiesznie zabranym z domu. Wszyscy byliśmy bardzo zmarznięci, głodni i wyczerpani długą podróżą. Siedzieliśmy tam dosyć długo bo znów musiano wszystkich spisać, policzyć i pogrupować. Dalej następna podróż, saniami, rzeką Jenisej skutą lodem, w daleką tajgę. Było minus 40 stopni, po drodze zatrzymywaliśmy się w małych wioskach, gdzie dostawaliśmy cokolwiek ciepłego do zjedzenia. Tam też nocowaliśmy a rano znów w drogę. i tak jechaliśmy cały tydzień. Minęliśmy Daurki Rejon, Nowosielski Rejon i dotarliśmy do Uczastka Tiubil tzw. Lespramchozu. Było to miejsce położone w głębokiej tajdze, w kotlinie między lesistymi górami nad rzeką, zwaną także Tiubil Mała wioska była miejscem naszego zesłania. Stało tam kilka dużych jednorodzinnych baraków, w których zapewne już nie jedno pokolenie zesłańców mieszkało. Był też mały szpitalik, sklepik, bania i piekarnia gdzie wypiekano chleb dla tubylców i zesłańców.

Oprócz baraków dla Zesłańców, stało kilka lub kilkanaście domków, w których mieszkały rodziny nadzorców oraz znajdowały się pomieszczenia służbowe.

Zakwaterowano nas w jednym z takich baraków. Każda rodzina miała przydzieloną kajutę z kilkoma pryczami i małym okienkiem. Otrzymaliśmy jutowe worki i suchą trawę do ich wypełnienia. Służyły one nam jako materace na prycze. Na środku baraku stał żeliwny piecyk, który miał ogrzewać barak i służyć jako kuchenka do gotowania kawy z upalonego chleba lub do zagotowania wody.



Wkrótce po zakwaterowaniu przydzielono dorosłych do ciężkiej pracy w tajdze. Ponieważ była to zima, dostaliśmy ciepłe pikowane spodnie, kufajki, buty walonki oraz ciepłe czapki i rękawice. Wychodziliśmy skoro świt. Kobiety mężczyźni, młodsi i starsi, wszyscy którzy nadawali się do pracy. Ścinaliśmy zwykłą ręczną piłą, olbrzymie syberyjskie cedry a potem powalone na ziemię czyściliśmy siekierami z gałęzi. Ja pracowałam na zmianę z drugą kobietą, raz przy ścinaniu a raz przy czyszczeniu drzew. Pomagał nam jeden mężczyzna. Inni mężczyźni spuszczała ze zboczy ścięte drzewa na rzekę, która była jeszcze zamrożona i układali je obok siebie tworząc tak jakby tratwy.

Wracaliśmy z pracy późnym wieczorem zmęczeni, głodni i zmarznięci. Raz na dzień przynoszono owsiankę lub zupę rybną i po kawałku chleba. Pracujący dostawali po 60 dkg a dzieci i pozostali po 40 dkg. Przydział chleba był za mały, żeby najeść się do syta, a i zupy nie starczało zawsze dla wszystkich.

Tato mój chodź schorowany i wycieńczony długą podróżą, razem z moim bratem Piotrem też chodzili do lasu na wycinkę drzew. Mama dostała pracę w łaźni tak zwanej bani gdzie grzała kamienie i wodę do kąpieli. Musiała przynieść w wiadrach wodę z rzeki, która płynęła nieopodal i nanosić z lasu drewna, żeby rozpalić w dużym piecu.

Bania, łaźnia była dla zarządców, pilnujący nas ludzi a także dla mieszkających tu Rosjan .

Ja, moje siostry i bracia, od czasu do czasu bieглиśmy tam ukradkiem do mamy, żeby się wykąpać.

Wszystkie dzieci, zimą siedziały w barakach ale jak tylko zrobiło się ciepło wychodziły na zewnątrz. Były pilnowane przez swoje starsze rodzeństwo lub tych którzy nie mogli pracować.

Wiosną gdy lody na rzece zaczęły pękać, pracowaliśmy przy spławianiu drzew. Kobiety wśród nich i ja zwałyśmy leżące drzewa na zboczu, na dół do rzeki. Mężczyźni z bosakami w ręku, pilnowali, żeby na rzece nie zrobił się

zator. Nieraz drzewa spiętrzyły się i chłopaki nie mogli sobie dać rady. Wyglądało to przerażająco.

Latem też pracowaliśmy w tajdze. Dostaliśmy fartuchy, kapelusze z siatką chroniące twarz przed plagą muszek i komarów. Owady te były bardzo agresywne i ich ukąszenie powodowało bolesne obrzęki całego ciała. Ale i to musieliśmy jakoś wytrzymać.

Słabe wyżywienie, ciężka praca i złe warunki mieszkalne i sanitarne powodowały że ludzie bardzo chorowali. Najczęściej zapadali na tyfus i malarię. Tyfus powodował straszną biegunkę, której niczym nie można było wyleczyć, malaria zaś objawiała się bardzo wysoką gorączką na przemian z zimnymi dreszczami.

Pamiętam, na malarię zachorowała moja młodsza siostra Jańcia i kilkanaście osób z naszego baraku. Mnie wyznaczono do pomocy przy chorych. Dawano nawet jakieś lekarstwa ale one nie wszystkim pomagały. Wiele osób nie przeżyło tych ciężkich chorób. Umarło dużo małych dzieci i ludzi starszych, wycieńczonych głodem i zimnem. Moja siostra wraz z innymi leżała w gorączce cały miesiąc. Na szczęście przeżyła ale straciła włosy i pamięć i musiała uczyć się pod nowa mówić i chodzić. Bardzo chorych i starych dla których nie było już ratunku odwożono do tak zwanych domów pomocy czy domów starców, takowe były też na Syberii. Tam też zabrano moją tatę, który po drodze zmarł, o czym dowiedzieliśmy się dużo później. Był to cios dla całej naszej rodziny a szczególnie dla naszej mamy, która razem z tatą przeżyła wielką tułaczkę do Ameryki i z powrotem a teraz rozdzieliła ich Syberia, nieludzka ziemia gdzie zostaliśmy wywiezieni z ojczyzny.

W tak ciężkich warunkach żyliśmy 3 lata. Zimą, w lutym 1943 roku dotarła do nas wiadomość, że dla wszystkich przesiedleńców, zesłańców ogłoszono amnestię. Ogłoszono ją dużo wcześniej ale różne wiadomości docierały do nas z wielkim opóźnieniem. Byliśmy wolni od nadzoru NKWD i byliśmy wolni jako ludzie. Ale dokąd iść i jak wydostać się ze środka tajgi.

Wielu ludzi wychodziło w głąb tajgi ale wracali po tygodniu błędząc i szukając drogi powrotnej. Wielu zginęło w niej bez wieści. Mój starszy brat Piotr i kilku zaprzyjaźnionych mężczyzn postanowili iść rzeką, która była jeszcze zamrznięta. Uznali, że jest to jedyna droga, żeby dotrzeć do jakiegoś siedliska ludzi, nie spotkać dzikiego zwierza, zgłodniałego wilka czy groźnego niedźwiedzia.

Mężczyźni, którzy wyszli w poszukiwaniu innego lepszego miejsca do życia, wrócili po kilkunastu dniach konno. Jaka była nasza radość, że w ogóle wrócili, na dodatek z dobrą wiadomością. Znaleźli pracę w oddalonym o kilka dni drogi kołchozie z miejscem do zamieszkania. Wioska nazywała się Pokrowa. Nasza rodzina i inni ludzie ruszyliśmy w drogę. Po przybyciu na miejsce zostaliśmy zakwaterowani w jednym z domów, których był tam sporo. Dostaliśmy pracę w kołchozie, w polu i przy bydle, za którą nam częściowo płacono.

Za otrzymane pieniądze mogliśmy od czasu do czasu kupić trochę ziemniaków, kaszy, mleka lub kawałek sera. Chleb jak w Tiubilu dostawaliśmy na przydział, może trochę większe porcje ale też za małe żeby się najeść do syta.

Najbardziej cieszyło nas to, że wyszliśmy z tego ciemnego lasu i z tej bezkresnej tajgi. Życie nasze zmieniło się choć troszkę na lepsze. w wolnym czasie mogliśmy spotykać się z innymi ludźmi, którzy także przybyli tu z Tiubila. Mogliśmy razem posiedzieć, porozmawiać a nawet pośpiewać.

Tutaj poznałam chłopaka o imieniu Gienio. Widziałam go wcześniej w Tiubilu, małym szpitaliku, gdzie leżał chory na nogi a ja opiekowałam się chorymi. Jego cała rodzina została też wywieziona na Syberię. Okazało się, że mieszkali kilka kilometrów od naszej wioski w Denysowie, też w rejonie tarnopolskim. Miałam szczęście że spotkałam go właśnie tutaj.

Nasza znajomość sybiracka trwała może pół roku bo w maju 1943 roku gdy formowano 1 Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki Gienek, wraz z innymi mężczyznami

poszedł do wojska. Szli na ochotnika, chodź dywizja powstawała pod baczynym okiem Stalina. Obóz zlokalizowano nad Oką w Sielcach, dokąd Polacy masowo przybywali, widząc w służbie wojskowej jedyną szansę na godne przeżycie w Rosji lub możliwość powrotu do Polski.

Z naszej wioski Pokrowa, wszyscy mężczyźni, którzy byli zdrowi ruszyli nad Okę, do polskiej armii pod wodzą gen. Zygmunta Berlinga.

Pod koniec roku 1943 z kołchozu Pokrowa przenieśliśmy się do sąsiedniego kołchozu Jakuszowa. Warunki życia były podobne jak wcześniej a może nawet pogorszyły się. Pracowaliśmy ciężko przy bydle, nie otrzymując żadnej zapłaty. Chodziliśmy daleko do tajgi, po drzewo na opał, bo zima tego roku była bardzo mroźna. Dostawaliśmy bardzo małe porcje chleba, tak że bardzo głodowaliśmy. Wiosną głód dokuczał nam tak bardzo, że postanowiliśmy szukać lepszego bytu. Kilka osób wyruszyło w nieznaną jak mówiono za chlebem. Po kilku dniach, wrócili konno z sowchozu Bieriozowka, gdzie obiecano im pracę. Brakowało, tam rąk do pracy, bo wszyscy rosyjscy mężczyźni powołani zostali do armii i poszli na front.

Do sowchozu Bieriozowka jechaliśmy saniami kilka dni. Raz nocowaliśmy u pewnej rosyjskiej rodziny, która przyjęła nas bardzo serdecznie i gościnnie. Nakarmili nas kapuśniakiem i kartoflami a noc spędziliśmy w drewnianej chacie, śpiąc na pałatkach leżących na podłodze. Byli to Rosjanie, bardzo dobrzy ludzie. Widać było, że wzruszył ich nasz los. Byliśmy im bardzo wdzięczni za wspianą kolację i za to, że nas przenocowali.

Po dotarciu do Bieriozowki zostaliśmy ulokowani w baraku dla pracowników, gdzie było już kilka polskich rodzin z Tiubila.

Była tam już kilku osobowa rodzina Czuchnickich.

Był rok 1943. Tu w sowchozie Bieriozowka w maleńkiej wiosce na pograniczu tajgi i stepu zaczęliśmy następny rozdział w naszym życiu. Tajga, która pochłoneła setki ludzi została na horyzoncie.

W centrum wioski, w drewnianym budynku znajdował się tak zwany kantor, w którym urzędował prezydent oraz kilku innych urzędników. W pobliżu była niewielka szkoła dla dzieci pracowników sowchozu i mały sklepik gdzie pobierało się przydział chleba. Dookoła stały domy tubylców a na obrzeżach baraki dla zesłańców. Dalej znajdowały się stajnie tzw. cielętniki z olbrzymią ilością bydła oraz ogromne magazyny na płody rolne i różnego rodzaju szopy, na sprzęt. Sowchoz posiadał też wielkie uprawy rolne, ziemniaków, zboża, oraz olbrzymie pastwiska i łąki, gdzie koszone trawę i zbierano siano na okres zimowy dla zwierząt.

Wszyscy mieszkańcy Bieriozowki byli pracownikami sowchozu.

Dla nas również znalazła się praca. Mężczyzn prawie nie było, bo wszyscy zdolni do służby wojskowej poszli na wojnę. Kobiety wykonywały więc wszystkie prace męskie.

Ja jeździłam traktorem. Wiosną orałam ziemię pod uprawy, kosiłam trawę na łąkach, czasami zboże.

Pracowałam z innymi kobietami przy żniwach i sianokosach.

Wiązałyśmy zboże w snopki i ustawiałyśmy w kopy oraz grabiłyśmy siano i składałyśmy w wielkie stogi.

Latem 1945 roku pasłam młode bydło, wraz z dwiema kobietami, jedną Polką moją przyjaciółką jeszcze z Polski i Rosjanką. Dostałyśmy jednego konia i jednego psa i musiałyśmy wygonić na wypas dwa stada krów każde po sto sztuk. Wypasanie było na łąkach, które znajdowały się daleko od sowchozu między lasami. Łąki były ogrodzone i podzielone na tzw. zagrody, na które co jakiś czas przepędzano krowy.

Były to bardzo duże pastwiska, na których w pewnej odległości stały małe drewniane chatki, służące nam do przenocowania. Od czasu do czasu, ktoś na koniu przywiózł nam porcję chleba, sera i garnek zupy. Raz na dwa tygodnie jedna z nas jechała koniem do domu, a dwie razem z psem pilnowały stada.

Najbardziej bałyśmy się wilków które podchodziły pod zagrodę.

Spędziłyśmy tam na wypasie całe lato aż do późnej jesieni. Pamiętam jak w czasie tego wypasu, zdechła jedna jałówka. Odbyła się nawet sprawa sądowa oczywiście bez naszego udziału .

Cała moja rodzina bardzo przeżyła to wydarzenie, a najbardziej mój młodszy brat Gienio. Chodził wokół szkoły gdzie zebrał się sąd i rozpaczając mówił, że jego ukochana siostra pójdzie do więzienia. Na szczęście sprawa zakończyła się nas pomyślnie, uznano bowiem , że był to po prostu wypadek.

Moja siostra Jańcia pasła 300 owiec ze starym dziadkiem, skośnookim Chazarem. Miała też przykre zdarzenie bo w stado owiec wskoczył niespodziewanie wilk i zagryzł trzy owce. Winę jednak na siebie wziął stary pasterz i siostra nie poniosła żadnych konsekwencji.

Jesienią wozila mleko w dużych kaniach, bańkach do oddalonej od nas 5 kilometrów mleczarni. Pomagała jej młoda kobieta. Zaprzęgały byka do tzw. telegi, był to duży drewniany wóz, ładowały bańki z mlekiem i jechały wyboistą drogą przez pola i lasy słysząc wycie wygłodniałych wilków. Po powrocie musiała umyć bańki i przygotować je na następny dzień.

Wodę z płukania baniek mama lub inne kobiety wykorzystywały do ugotowania na niej kaszy lub zupy.

Mama moja dostała pracę w tzw. cielętniku, gdzie doila krowy zaraz po ocieleniu. Przekazywała to mleko młodej Rosjance, która poila nim małe cielaczki. Czasami udało się mamie przynieść trochę mleka, oczywiście pod groźbą kary. Do dzisiaj pamiętam jego smak.

Zimą pomagałam swojej mamie w stajni przy krowach. Wywoziłam gnój spod krów, myłam poidła, wiadra i sprzątałam oborę. Za dobrze wykonaną pracę czasami dostawałam kawałek sera w nagrodę. Zanosila go do domu, by podzielić się nim z moją pięcioosobową rodziną.

W Bieriozowej nie znaleźliśmy lepszego bytu. Głodowaliśmy bardzo, bo oprócz przydzielonego chleba nie było prawie nic do jedzenia. Latem żywiliśmy się szczawiem,

lebiodą, pokrzywą i leśnymi owocami. Czasem dostaliśmy trochę ziemniaków i warzyw od Rosjan, którzy mieszkali koło nas i też pracowali w kołchozie. Im żyło się trochę lepiej, bo przy domu mieli małe ogródki i mogli chować krowę lub świnie.

Byliśmy bardzo wyczerpani fizycznie i psychicznie. Myśl o naszych bliskich, którzy poszli na wojnę nie dawała nam spokoju. Czasami docierały do nas jakieś wiadomości z frontu, lub przychodziły listy od najbliższych ,ale były bardzo krótkie.

Pod koniec 1945 roku zaczęły docierać do nas jakieś pogłoski o końcu wojny i o możliwości powrotu do ojczyzny. w nasze serca wstąpiła nadzieja ale szybko gasła bo dni mijały i nic się nie działo. Tęsknota za krajem, za własnym domem i dawnym życiem była tak wielka, że ludzie zaczęli starać się o dokumenty, które umożliwiłyby im powrót do Polski. Był to już szósty rok naszego zesłania, pobytu na Syberii. Wiele osób umarło i zostało tu na zawsze. Wiele nabawiło się różnych chorób, sporo też dzieci się tu narodziło. Myśl o powrocie dodawała nam otuchy i chęci do życia.

Zaczęliśmy już szykować jakieś lepsze ubrania. Cerowaliśmy dziury, naszywaliśmy łaty, żeby jakoś wyglądać, bo tak naprawdę z naszych dawnych ubrań zostały tylko łachmany.

Ja miałam sweter, w którym przyjechałam z Polski. Chociaż go szanowałam, był już bardzo zniszczony, ale wyszykowałam go sobie na powrót .Uszyłam sobie nawet spódnicę z grubego worka, żeby mieć coś nowego.

Mama suszyła kawałki chleba, żebyśmy mieli w drodze coś do zjedzenia, Wiedziała ,że droga powrotna będzie też bardzo długa i męcząca. Radość nasza była ogromna gdy usłyszeliśmy ostateczną decyzję. Ruszyła repatriacja, wracacie do Polski.

Był koniec lutego 1946 roku, Zima była bardzo mroźna i śnieżna.

Mama spakowała jakiś tobołek, resztki naszego dobytku i wszystko co było do jedzenia. Założyliśmy ubrania przygotowane na wyjazd i wyszliśmy na zewnątrz. Inni też ubierali się pośpiesznie i gromadzili się przed barakami.

Wszyscy ruszyliśmy do sań, które miały nas podwieźć na stację kolejową. Na saniach umieszczono małe dzieci, osoby chore i ludzi w podeszłym wieku. Rzucono coś do okrycia, tobołki i zapasy żywności. Ludzie zdrowi, młodzi a i starsze dzieci szli pieszo za saniami.

Pamiętam, że aż za wioskę odprowadziła nas grupa rodowitych sybiraków. Widać było smutek na ich twarzach, niektórzy mieli w oczach łzy. Na pewno nas trochę polubili i żal im było się z nami rozstawać, a i my darzyliśmy ich sympatią. Podróż do stacji kolejowej trwała cały dzień i noc. Na stacji kolejowej oczekiwał już na nas transport złożony z towarowych wagonów.

I znów tak jak przy wywózce. Wyczytywanie nazwisk i imion, wydawanie dokumentów, liczenie oraz przydzielenie do poszczególnych wagonów. Słyszeć było płacz dzieci, radosne głosy i śmiech młodych ludzi oraz pojękiwania ludzi starszych i schorowanych. Podróż odbywała się w podobnych a może nawet gorszych warunkach w jakich wywożono nas na Syberię.

Jechaliśmy bardzo długo, ponad miesiąc, tą samą drogą tylko w odwrotnej kolejności.

Pociąg liczył kilkadziesiąt wagonów i jechał przez Krasnojarsk,

Nowosybirsk, Tomsk, Omsk, Czelabińsk, koło Moskwy aż do granicy Rosji z Polską.

Czasami na stacjach w większych miastach były kilkunastominutowe postoje. Ludzie wychodzili z pociągu biegli po wodę, lub załatwiali swoje potrzeby.

Pamiętam jak na jakiejś małej stacji pociąg zatrzymał się i staliśmy tam dwa dni. Było to jeszcze na kresach wschodnich.

Miejscowa ludność przyniosła nam coś do jedzenia i jakieś ubrania. Byli bardzo serdeczni w stosunku do nas bo



wiedzieli, że my pochodzimy z tych stron, a teraz wracamy z wywózki, z dalekiej Syberii. Dowiedzieliśmy się tutaj, że granice są przesunięte na zachód a nasze ziemie i gospodarstwa zostały przejęte przez tutejszą ludność. Tak naprawdę stało się to już, przed wojną 23 sierpnia 1939 roku, na mocy paktu Ribbentrop - Mołotow.

Na granicy polsko-rosyjskiej wybuchła w pociągu wielka radość i płacz jednocześnie. Słysząc było śpiew ludzi i różne okrzyki między innymi „Niech żyje Polska.”

Ruszyliśmy do Poznania, mówiono, że wiozą nas na Ziemie Odzyskane aż do Szczecina przez Kołobrzeg. Od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się na stacjach kolejowych, by wysadzić ludzi, gdzie być może mieszkała już ich rodzina lub jest to miejsce ich przesiedlenia.

Na stacji w Poznaniu staliśmy jakiś czas. Był to okres przed lub tuż po Świątach Wielkanocnych.

Dzieci, które wyszły na peron, wróciły z różnymi rodzajami ciast. Każdy , brał tylko po kawałeczku i próbował, bojąc się by nie zaszkodziło po tak długiej syberyjskiej głodówce i oczywiście, żeby starczyło dla wszystkich. Byliśmy zaskoczeni, że tutejsi ludzie tak nas serdecznie powitali.

Wieczorem, ruszyliśmy do Kołobrzegu. Tam na stacji , na drugim torze zatrzymał się pociąg, który jechał w przeciwnym kierunku. w oknie wagonu zobaczyłam mojego średniego brata Piotra Cymbora. Serce zabiło mi mocno, bo nie widzieliśmy go trzy lata i nawet nie wiedzieliśmy czy żyje. Mama rozpląkała się z radości. Opowiadał że walczył tu, pod Kołobrzegiem i został ciężko ranny. Kula trafiła go w okolicę serca i przeszła przez płuco na wylot. Ledwo uszedł z życiem. Leżał w szpitalu, pół roku i chyba cudem doszedł do zdrowia.

Jechał do Lublina odwiedzić dziewczynę poznaną w szpitalu, która też wcześniej była ranna i miał w Lublinie jakąś sprawę do załatwienia. Brat wiedział, że wracają transporty zesłańców z Syberii i koniecznie chciał się z nami spotkać, czekał jeszcze na adres gdzie my dojedziemy. To spotkanie

na stacji kolejowej w pociągach stojących obok siebie na dwóch przeciwległych torach, było chyba zrzędzeniem losu. Moja rodzina, rodzina Czuchnickich i jeszcze wiele innych wysiadło w Kołobrzegu. Zakwaterowano nas wszystkich, w jakimś ocalałym budynku, bo miasto też był bardzo zniszczone. Siedzieliśmy tam kilka dni, nie znając dalszego naszego losu.



Hela Czuchnicka siostra mojego męża i ja

Wiedzieliśmy, że na pewno nie wrócimy już na kresy, do swoich domów, wszystko przepadło, cały dorobek życia moich rodziców. Zostały tylko wspomnienia z tamtych rodzinnych stron i wielki żal w sercu, że się tego już nigdy nie zobaczy.

Po kilku dniach do Kołobrzegu wrócił mój brat Piotr. Miał dla nas dobrą wiadomość. Odnalazł siostrę naszej mamy, ciocię Aleksandrę, która mieszkała już tu na ziemiach odzyskanych pod Nową Rudą.

W międzyczasie odezwał się też mój narzeczoną Gienek, poznany na Syberii. Po powrocie z wojny w 1945 roku zamieszkał w Toruniu i pracował jako dowódca kompanii w tutejszej jednostce wojskowej. Spotkał się ze swoją rodziną i zabrał ją do Torunia. Kilka dni przed naszym wyjazdem w dalszą drogę, dostaliśmy z PUR-u (Polskiego Urzędu Repatriacyjnego) niewielką pomoc, trochę ubrań i konserw

Ruszamy w dalszą drogę. Przez Wrocław z przesiadką w Wałbrzychu dojechaliśmy do Nowej Rudy. Pamiętam, że był już wieczór. Na stacji kolejowej, czekała już na nas furmanka zaprzęzona w dwa konie, którą pojechaliśmy do Nowej Wsi do cioci Aleksandry, siostry mojej mamy. Kiedy zaczęła się kręta droga, przez góry i ciemny las wróciły złe wspomnienia. Podróż jednak trwała krótko, bo było to tylko 8 kilometrów drogi. Szczęśliwie zajechaliśmy na miejsce pod dom cioci Aleksandry i wujka Kazimierza Słoninków. Radości nie było końca. w końcu po sześciu latach ponieważ znaleźliśmy się w normalnym domu, gdzie było ciepło, gdzie mogliśmy się umyć i wyspać w normalnym łóżku pod pierzyną. a co najważniejsze, po raz pierwszy od sześciu lat najedliśmy się do syta. Na stole był chleb, ser, masło i mleko oraz ziemniaki i kapusta. Nie zapomnę do końca życia, tego serdecznego przywitania i wspaniałego przyjęcia.

Niedługo po przyjeździe ja i moja siostra Janka zachorowałyśmy na malarię. Była to straszna choroba. Dwa miesiące leżałyśmy w łóżku mając na przemian, czterdzieści stopni gorączki lub straszne zimne dreszcze.

Na szczęście wyzdrowiałyśmy, ale chyba tylko dzięki naszemu kuzynowi, który z Bieszczad z Sanoka przyjechał do cioci i wujka. Przywiózł samogon z pieprzem i mama dawkowała nam go przez dwa tygodnie, dwa razy dziennie, aż do ustąpienia choroby. w tamtych czasach zdobycie leków na malarię było niemożliwe.

W lipcu po dwumiesięcznej chorobie zaczęłyśmy wychodzić na bardzo krótkie spacery. Ale tak naprawdę, musiałyśmy się uczyć chodzić od nowa. w miarę szybko doszłyśmy do zdrowia, bo mama z cicią dobrze nas odżywiały.

Pod koniec lipca będąc na przechadzce zobaczyłam idącego w oddali młodego mężczyznę w wojskowym mundurze, nie wierzyłam swoim oczom, był to mój narzeczony Gienio. Była to dla mnie wielka radosna niespodzianka, bo spotkaliśmy się po trzech latach rozłąki. Gienio po wstąpieniu w 1943 roku do Pierwszej Brygady

Kościuszkowskiej, walczył na froncie i przeszedł cały szlak bojowy, od bitwy pod Lenino aż do Berlina. Po skończonej wojnie zamieszkał w Toruniu. z Torunia przyjechał na dwutygodniowy urlop do Nowej Rudy, gdzie zamieszkała tymczasowo jego rodzina. Odwiedził również i mnie i moją rodzinę tu w Nowej Wsi .Obejrzał też gospodarstwo położone niedaleko w Woliborzu, przydzielone jego rodzinie. w krótkce rodzina Czuchnickich przeprowadziła się do tego gospodarstwa. Tak więc nasze rodziny zamieszkały niedaleko siebie, w Nowej Wsi i w Woliborzu, w powiecie Nowa Ruda w tzw. Kotlinie Kłodzkiej

Nowa Wieś liczyła około czterdziestu gospodarstw. Leży w niewielkiej dolinie, otoczona górami z których wzdłuż drogi płynie mały bystry strumyk. Pobocza dróg były obsadzone drzewami owocowymi, przeważnie czereśniami, jabłoniami i orzechami.

Budynki stały w dość znacznej odległości od drogi, przeważnie na zboczach. Domy mieszkalne jak i stajnie, chlewnie, obory i stodoły, były murowane z czerwonej cegły. Były bardzo dobrze utrzymane i jak na tamte czasy nawet nowoczesne.

We wsi na niewielkim zboczku stał też, piękny zabytkowy kościół otoczony cmentarzem. Nieopodal po drugiej stronie drogi stał Dom Ludowy z niewielką biblioteką i dużą salą, gdzie zapewne spotykali się, dawni mieszkańcy tych ziem. Mieszkali tu Niemcy lub Ślązacy, którzy po wojnie, gdy przesunięto granice, zostali przesiedleni na zachód. Musieli zostawić swój majątek; domy i ziemię, niekiedy dorobek całego życia tak, jak my w lutym 1940 roku, kiedy wywożono nas na Syberię. Kika rodzin zostało tu jeszcze nie decydując się na wyjazd.

Na te ziemie tzw. Odzyskane przesiedlono, dużo rolników z pod Lwowa, Tarnopola i innych miejscowości kresowych. Oni też musieli zostawić swoje gospodarstwa. Osadzono też tutaj nas Sybiraków.

Po kilku miesiącach wyprowadziliśmy się od wujostwa, do przydzielonego nam domu, leżącego na początku wioski.

Było to duże, kilku hektarowe gospodarstwo. Na środku placu stał dom, w którym zamieszkaliśmy. Znajdowała się też tam, duża stodoła, stajnie dla koni, krów i baranów oraz inne budynki gospodarcze. Był tam też ogród z drzewami owocowymi i nieduża pasieka.

Niestety zimą dom zapalił się od komina i spłonął. Przeprowadziliśmy się, do innego domu, który był jeszcze nie zamieszkały, po drugiej stronie ulicy.

Dawni właściciele w ramach przesiedlenia zabierali ze sobą wszystkie wartościowe rzeczy lub nawet wszystko co chcieli i dawali radę zabrać. Pojawiali się, też często tak zwani szabrownicy, którzy powszechnie po zakończeniu wojny, okradali pozostające bez opieki gospodarstwa.

W domu, do którego się wprowadziliśmy było kilka mebli dawnych właścicieli, pamiętam piękną serwantkę-kredens pełną porcelanowych filiżanek i talerzyków oraz kryształowych szklanek i kufelków. Zostało też kilka drobnych sprzętów gospodarstwa domowego m.in. centryfuga, wirówka do mleka. Na placu, koło stodoły stały też jakieś maszyny, pamiętam małą, sieczkarnię. To, odziedziczyliśmy po dawnych gospodarzach i było, to już nasze nowe miejsce na ziemi. Mogliśmy zaczynać swoje życie od nowa, nie zapominając krzywd jakich doznaliśmy na Syberii. w trakcie spotkania z moim narzeczonym, ustaliliśmy że w 1947 roku pobierzemy się. Tak też się stało i latem 1947 roku wyszłam za mąż za Eugeniusza Czuchnickiego i przeprowadziłam się do niego do Torunia.

Do tej pory mieszkali z nim jego rodzice, dwunastoletnia bratanica Aleksandra i dziesięcioletni bratanek Zbyszek. Brat Gienia, Leon ur. w 1908 roku, jeszcze nie wrócił z wojny a jego żona, po powrocie z Syberii leżała chora w szpitalu zakaźnym w Krakowie. Latem w 1947 roku powrócił z Włoch Leon, bo tam walczył pod Monte Casino. Nie mieszkał długo w Toruniu bo stryjeczny brat Staszek Czuchnicki znalazł mu pracę i mieszkanie w Wałbrzychu. Wziął swoje dzieci i tam się przeprowadził. Po kilku tygodniach zmarła mu żona

i razem z dziećmi przeniósł się do Woliborza, gdzie jego rodzice dostali siedmio- hektarowe gospodarstwo.



80ciecie urodzin 23.04.2001r. Ja i mój mąż Eugeniusz Czuchnicki

Zostaliśmy w Toruniu sami. Miasto po wojnie było zniszczone, gdzie nie gdzie stały budynki w dobrym stanie, zaczęto też odbudowywać miasto.

Mieliśmy dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, ogrzewane piecami na węgiel. Od poprzednich lokatorów Gienuś odkupił kilka mebli do kuchni i jednego pokoju, w drugim pokoju stały dwa metalowe łóżka, nocne stoliki i szafa na ubrania typu wojskowego.

W tej kamienicy mieszkali ludzie w różnym wieku i ze wszystkich stron Polski. Były tam te i dzieci, w różnym wieku. Kamienica znajdowała się blisko koszar. Czasami z okna widziałam maszerujących żołnierzy w nowych mundurach i czapkach rogatywkach z orzełkiem i słyszałam ich śpiew.

W Toruniu 12 czerwca 1949 przyszła na świat nasza pierwsza córka Halinka.

Mąż będąc już w randze kapitana, często wyjeżdżał na kursy, szkolenia lub poligon.

Wiosną 1950 roku przenieśli męża do Jarosławia, pod wschodnią granicę. Dostajemy puste mieszkanie i przeprowadzamy się z Torunia, zabierając wszystko co posiadamy. Mąż jedzie na poligon, a ja z małym dzieckiem, w ciąży jadę do swojej mamy na Śląsk do Nowej Wsi. w sierpniu wracam do domu. Odwozi mnie mój czternastoletni brat Gienio. Na drugi dzień 24 sierpnia 1950 roku, jadę do szpitala. Mąż przyjeżdża natychmiast i jakie jest nasze wielkie zdziwienie i radość jednocześnie, bo urodziłam bliźniaki, dwie zdrowe i śliczne dziewczynki.

Dostały imiona Krysia i Basia i po tygodniu wyszliśmy do domu. Na miesiąc przyjeżdża do nas moja mama, żeby pomóc mi w opiece przy dzieciach. Jest bardzo zadowolona i szczęśliwa, że może choć przez miesiąc pobyc z nami.

Mąż wyjeżdża na roczne szkolenie, znów, do Torunia. Raz w miesiącu przyjeżdża do domu, na kilka dni. Cieszę się bardzo, lecz nie mówię, jak mi jest ciężko, bo wiem, że takie jest życie żołnierza zawodowego i jego rodziny.

W 1952 roku, kolejna przeprowadzka, tym razem na Górny Śląsk do Tarnowskich Gór, gdzie mieszkamy niecałe dwa lata. Znów pakowanie całego dorobku i przeprowadzka do Bolesławca na Dolny Śląsk, pięćdziesiąt kilometrów od granicy zachodniej, gdzie mąż zostaje dowódcą pułku.

Dostaliśmy tam mały domek jednorodzinny z ogródkiem. Latem, 1954 roku mąż dostaje urlop, jedziemy do Nowej Wsi, gdzie mieszka moja mama z rodziną i do Woliborza gdzie mieszka mama męża z synem Leonem i jego dziećmi. Niestety, tato męża już nie żyje, zmarł 26 sierpnia 1951 roku.



Cieszymy się wszyscy z rodzinnych spotkań. Opowiadamy o swoim nowym życiu i wspominamy stare dobre i złe czasy. W lipcu 1954 roku w Nowej Rudzie urodziłam czwartą córkę. Dostała na imię Wiesia. Po urlopie wracamy do swojego małego domku w Bolesławcu .

Jest to małe miasteczko przez, które przepływa rzeka Bóbr. w centrum znajdowała się średniowieczna baszta i kilkanaście zniszczonych wojną kamieniczek. Poza miastem rozciągał się las i kopalnie glinki porcelanowej.

Ja zajmuję się dziećmi ,a mąż cały czas pracuje w jednostce wojskowej. Obok nas, też w domku jedno-rodzinnym mieszkała rodzina Ślązaków. Byli to bardzo mili, serdeczni ludzie. Mieli dwie córeczki w wieku naszych dziewczynek ,więc nasze dzieci bawiły się razem.

W roku 1955 Halinka poszła do szkoły, która znajdowała się niedaleko naszego osiedla. Znow wiadomość o przeprowadzce. Tym razem na wschód na Mazury do małej miejscowości Bartoszyce, na szczęście tylko na rok.

Mąż zostaje wykładowcą w szkole oficerskiej w Olsztynie i tam przeprowadzamy się w roku 1957.

Mieszkamy na osiedlu domków dwurodzinnych. Niedaleko znajduje się jednostka wojskowa i szkoła podstawowa tzw. Tysiąclatka. Ja dalej zajmuję się dziećmi i w międzyczasie kończę kurs kroju i szycia drugiego stopnia. Mąż kupił mi maszynę do szycia, niemieckiej firmy Singer, z której bardzo się ucieszyłam. w domu zawsze było coś do zeszycia lub do uszycia.

W roku 1958 likwidują Wyższą Szkołę Oficerską w Olsztynie i znow przenoszą męża do innego miasta. Tym razem do centrum Polski do Grójca, czterdzieści kilometrów na południe od Warszawy. Obejmuje tu stanowisko szefa WKR-u czyli Wojskowej Komendy Rekrutacyjnej.

Mieszka tutaj i pracuje około roku ,do nas przyjeżdża raz na miesiąc. Ja z dziewczynkami mieszkam w Olsztynie. Odwiedza nas moja siostra Zosia z Koszalina i mój młodszy brat Gienio.



Wspominamy nasze dzieciństwo na kresach i swoją młodość, którą zabrała nam Syberia. Mama mojego męża, też przyjeżdża do nas, żeby nacieszyć się swoimi wnuczkami.

Starsze dziewczynki chodzą już do szkoły a najmłodsza przebywa ze mną w domu, pytając ciągle kiedy wróci tata. Latem 1960 roku dostajemy piękne, trzypokojowe mieszkanie z łazienką i kuchnią w nowo wybudowanym bloku w Grójcu.

Przy przeprowadzkach pomagało nam wojsko. Tym razem również, mąż załatwił samochód ciężarowy, do przewiezienia naszego dobytku. Ja i dziewczynki, jak nigdy przyjechałyśmy ku ich wielkiej radości samochodem osobowym. Była to nasza ostatnia przeprowadzka.

Wszyscy byliśmy razem i pomału, zaczęło się normować nasze życie. Dziewczynki poszły do szkoły, gdzie poznały nowe koleżanki i nowych kolegów. Mieliśmy nowych, miłych i sympatycznych sąsiadów i poznaliśmy wielu ciekawych ludzi.

Wydzierżawiliśmy niewielką działkę, gdzie posadziliśmy kilka drzewek i krzewów owocowych oraz sadziliśmy i sialiśmy różne warzywa i kwiaty. Ja w dalszym ciągu zajmowałam się domem wychowaniem córek i pracą na działce. Na działce pracowaliśmy razem z mężem. Obydwoje pochodziliśmy ze wsi i bardzo lubiliśmy pracę w naszym ogródku. Wszystko było tu zrobione na czas; zaorane, zasiane, wypielone a potem zebrane. Mąż postawił na działce małą altankę, do której mogliśmy się schować przed słońcem lub deszczem i która służyła do przechowywania różnych narzędzi.

Dziewczynki też chętnie jeździły z nami na działkę, lubiły podlewać warzywa i zbierać dojrzałe owoce.

Latem, jeździliśmy na wakacje na wieś, w góry do mojej mamy, mamy mojego męża i pozostałej rodziny, lub nad morze do mojej siostry Zosi.

Do nas ,do Grójca też często przyjeżdżała moja i męża rodzina.

Ja nareszcie wyciągnęłam z pudła swoją maszynę do szycia i zaczęłam szyć. Początkowo tylko dla rodziny, potem dla sąsiadek i znajomych , aż w końcu szycie stało się moją pracą.

Dziewczynki skończyły szkoły średnie w Grójcu z dobrymi wynikami i poszły na studia .Mój mąż, przez sześć lat trwania nauki naszych córek w Liceum Ogólnokształcącym był przewodniczącym Komitetu rodzicielskiego. Był znanym, poważanym i szanowanym obywatelem naszego miasta.

Ja przez cały czas, kiedy dzieci chodziły do szkoły zajmowałam się szyciem. Szyłam wszystkie rodzaje garderoby damskiej i dziecinnej. w latach sześćdziesiątych i późniejszych nie było dużo sklepów odzieżowych ale na rynku pojawiło się dużo pięknych materiałów, z których można było uszyć wszystko.

Szyłam to co życzyły sobie klientki, sukienki letnie, balowe, spódnice, spodnie, bluzki, kostiumy, żakiety a potem nawet lekkie płaszcze i kurtki. Dla dzieci szyłam fartuszki do szkoły, dziewczynkom sukienki a chłopcom garniturki do pierwszej komunii . Oprócz odzieży szyłam też firany, zasłony, poduszki, pościel i wiele innych rzeczy.

Na pierwszym miejscu szyłam oczywiście dla rodziny a potem dla innych, już zarobkowo i była to bardzo dobrze płatna praca. Wszystkim podobało się moje krawiectwo i miałam bardzo dużo pracy, ale robiłam to co lubiłam i co zawsze chciałam robić.



Moje córki Wiesia, Basia, Halinka i Krysia

Najstarsza Halinka skończyła medycynę i podjęła pracę w nowo wybudowanym szpitalu powiatowym w Grójcu. Ma drugi stopień specjalizacji, jest anestezjologiem. Wyszła za mąż, też za lekarza, położnika Stefana Polkowskiego. w latach siedemdziesiątych byli na kilkuletnim kontrakcie w Libii.

Krysia skończyła studia w Gdańsku na wydziale transportu morskiego. Tam wyszła za mąż za Piotra Armatyńskiego i mieszkają w Sopocie do dziś. Mają dwie córki i sześcioro wnucząt.



Córka Basia z rodziną

Basia po skończeniu dwuletniego studium przetwórstwa owoców i warzyw wyszła za mąż za Marka Przybytniaka i prowadzą razem gospodarstwo sadownicze w Zalesiu gmina Grójec. Mają troje dzieci i dziewięcioro wnucząt.

Wiesia ukończyła dwuletnią szkołę ekonomiczną i wyszła za mąż za Marka Adamowicza i obydwójce pracowali na państwowej posiadłości. Mają jedną córkę i jedną wnuczkę.

Mąż w randze podpułkownika w 1973 roku przeszedł na emeryturę. Udzielał się społecznie w różnych organizacjach.

Był odznaczony Orderem Wojennym Virtuti Militari. Jest to najwyższe polskie odznaczenie wojenne, nadawane za wybitne zasługi bojowe. Otrzymał również Krzyż Walecznych, polskie odznaczenie wojenne a także Order Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Posiadał też kilka odznaczeń i medali honorowych, okolicznościowych państwowych i wojskowych

Kilka lat po przejściu na emeryturę, jesienią 1986 roku pojechaliśmy do Kanady odwiedzić męża siostrę, Marię Samek, która mieszkała w Toronto. Byliśmy tam miesiąc, a ponieważ nie dostaliśmy wizy do Stanów Zjednoczonych, to moja siostra Adela Cieślak z Detroit ze Stanów



przyjechała do Marysi. Dużo wtedy zwiedzaliśmy, ale największe wrażenie zrobił na nas Wodospad Niagara. Jest to największy wodospad na granicy tych dwóch, wielkich krajów, gdzie woda spada z rzeki na wysokość pięćdziesięciu metrów w kilku miejscach. Była to podróż naszego życia, z której przywieźliśmy trochę pamiątek i fotografii .

W roku 2009 mąż zachorował i po niedługim czasie zmarł. Bardzo przeżyłam jego śmierć, byliśmy razem sześćdziesiąt dwa lata, ale znaleźliśmy się prawie siedemdziesiąt lat.

Zostały jednak wspomnienia i bardzo dużo pamiątek. Są zdjęcia, jeszcze z lat naszej młodości, różne męża ordery, medale, odznaczenia , dyplomy uznania i wiele innych.

Nie ma też już z nami męża Wiesi, Marka Adamowicza, który zmarł nagle w 2006r i męża Halinki Stefana Polkowskiego, który też zmarł nagle w 2014.



Ja i moje córki Basia, Krysia, Halinka i Wiesia na moich 95 urodzinach

Najbardziej opiekuje się mną Halinka, choć ma swój dom na wsi, to mieszka ze mną. Często jeździmy na wieś, bo jest tam piękny ogród i mały laszek do którego chodzę na grzyby.

Ja mam jeszcze dla kogo żyć, cała nasza rodzina jest bardzo liczna, wszystkich bliskich osób jest 35, w tym 6 wnucząt i 16 prawnucząt.



Ja i moje prawnuki na 95 urodzinach

Wiesia jest u mnie prawie codziennie, sama lub ze swoją wnuczką Anią. Czasami też nocuje, jak Halinka ma dyżur w szpitalu. Krysia przyjeżdża kilka razy w roku na kilkanaście dni. a latem nawet na cały miesiąc. Basia przyjeżdża od czasu do czasu. Wszyscy trzymamy się razem, pomagamy sobie wzajemnie i spotykamy się na uroczystościach rodzinnych i świątecznych.

Utrzymuję też kontakt telefoniczny z moimi młodszymi koleżankami, znajomymi, bliższą i dalszą rodziną.





Należę do Związku Sybiraków Oddział Grojec. Otrzymałam honorową odznakę, Krzyż Zesłańców Sybiru, odznaczenie państwowe nadawane przez Prezydenta RP. Należę do Związku Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Wrzesień 2018r.

Przedstawiciele tych związków oraz reprezentanci dawnej Jednostki Wojskowej z Ogrodzienic pamiętają o moich urodzinach i imieninach i o każdym święcie. Dostają zawsze piękne kwiaty i życzenia, z wyrazami pamięci i szacunku. Otrzymywałam również, zaproszenia na różne okolicznościowe wydarzenia w naszym mieście. 17 listopada 2017 roku uczestniczyłam w uroczystym odsłonięciu i poświęceniu pomnika ku czci Sybiraka przy kościele św. Mikołaja w Grójcu. Po mszy odbyła się uroczystość z całym ceremoniałem wojskowym, którą zapewnił Ośrodek Radioelektroniczny w Grójcu. Wystawiono posterunek honorowy i poczet sztandarowy. w uroczystości brali udział przedstawiciele różnych organizacji, młodzież szkolna i mieszkańcy miasta Grójca. Na pomniku złożono piękne kwiaty ku czci Sybiraków.





Światowy Dzień Sybiraków Grójec wrzesień 2018r.

Teraz gdy jestem już w takim wieku, odpoczywam, czytam gazety, czasem oglądam jakiś program w telewizji, przeglądam pamiątki i wspominam lata ,które minęły.

Cieszę się, że mam koło siebie tak kochającą rodzinę i życzliwych mi ludzi.

23 kwietnia 2021 roku skończę sto lat.

I tak w skrócie opisałam moje długie ciekawe życie.

Helena Czuchnicka

